



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

Express Ilustrowany

Łódź, ul. Piotrkowska Nr 96

wydanie

9 4 - 2 2 - 04 - 1971

Nr z dn.

268

7 dni w teatrze

Franz Kafka: „Ameryka“

Spektakl nie jest ani nazbyt trudny, wymagający szczególnego skupienia czy wysiłku intelektualnego w odbiorze, ani nazbyt długi, mimo wszystko opuszczamy teatr zupełnie zmaltretowani, przepuszczeni przez jakiś okrutny, psychiczny magiel, który — czuliśmy to zupełnie wyraźnie — może obracać się, obracać i obracać bez końca, na coraz to wolniejszych obrotach...

Bez pewnej dozy okrucieństwa nie mogło się, oczywiście, obyć: taki jest przecież świat, w którym przychodzi żyć bohaterom wszystkich powieści Kafki — właśnie okrutny, zburokratyzowany i zhierarchizowany, miazdzący każdego, kto wpadnie w jego tryby. Natomiast wyregulowanie rytmu obrotów zależało już nie tylko od pisarza, a od autora adaptacji (JEAN LOUIS BARRAULT) i reżysera (ZYGUNT HUEBNER) — przynajmniej ten ostatni nie był tu chyba bez winy.

Po stanowiącej niejako prolog scenie z palacem (wyrzista rola ZBIGNIEWA JOZEFOWICZA), następują doskonale, przypominające puszczone z przyspieszeniem film, sekwencje w domu senatora Jacoba. Wszystko wydaje się nam precyzyjne i logiczne w tym spektaklu: począwszy od konstruktywistycznej, przypominającej przesła mostu budowli, wzniesionej na scenie przez EWĘ i FRANCISZKA STAROWIEYSKICH (będzie ona przekształcać się to w pokłady statku, to w piętra biurowca, to w kondygnacje willi), kończąc na skrótowym, zawierającym się w jednym błysku aktorstwie, z którym interesująco kontrastuje nieporadny, mazażowy Karl Rossman grany przez STANISŁAWA ZATŁOKĘ.

Nie czujemy niepokoju, gdy tempo opada cokolwiek w scenie wizyty w willi Pollundera (choćby dla świetnej roli IZABELLI PIENKOWSKIEJ, która — grając Klarę — zagrała jeszcze „mimoходом” Fleur z „Sagi”, znakomicie utrafioną w sylwetce, geście, uśmiechu...), ale wraz z pojawieniem się Robinsona i Delamarcha, wkrada się na scenę inna poetyka.

Opisowość a zarazem pewną blaznada, z jaką ANDRZEJ MAY i BOGUSŁAW SOCHNACKI potraktowali swoich bohaterów, trudno krytykować od strony roboty aktorskiej, można natomiast — wydaje się — zgłosić pewne wątpliwości, co do reżyserskiego założenia. Para hochsztaplerów wyrasta dość niespodziewanie na jarmarczne demony, które przerastają i rozbijają kukielkowy po trosze świat „A-

meryki”, tak, że spektakl nigdy już nie powraca do początkowego, nerwowego rytmu — nawet w scenach hotelowych, które zdają się stanowić doskonałą po temu okazję.

W rezultacie gdyby trzem różnym osobom — bez uprzedzenia — pokazać trzy różne sceny z przedstawienia w TEATRZE NOWYM, być może tylko po opisie scenograficznej konstrukcji mogłyby się zorientować, że wszystkie oglądały fragmenty jednej i tej samej inscenizacji... Również i robota aktorska — pomijając nawet powołane już przykłady — pochodziła z odmiennych chyba światów: jeżeli RYSZARD DEMBIŃSKI (Green, Starszy Portier) był może nie tyle jednowymiarowy, co kukielkowy raczej, to EWA ZDZIESZYŃSKA (Brunelda) swój maleńki, ale zapadający w pamięć epizod nasyciła wszystkimi barwami aktorskiej palety, wykorzystując do maksimum możliwości głosowe i gestyczne. Można — wydaje się — i tak, i tak, ale chyba nie równocześnie.

Nie nazbyt — przynajmniej w tym wykonaniu — zdobyli przedstawienie songi STANISŁAWA RADWANA; kilka z nich było na pewno bardzo ciekawych muzycznie, nie wytworzyła się jednak u nas taka szkoła aktorskiego wykonania songów, jaką pamiętamy z Berliner Ansamble. Mnie osobiście — choć nie czuję się w tej materii do końca kompetentny — najbardziej odpowiadał sposób śpiewania ZOFII GRAZIEWICZ.

Tyle uwag, rozstrzelonych i cokolwiek chaotycznych, szczerze mówiąc, zbyt byłam jednak zmęczony tym spektaklem, aby móc teraz zdobyć się na wyważoną, wartościującą do końca analizę. Przykro mi, ale moja wyobraźnia — choć silnie poruszona pierwszymi scenami — zaczęła najwyraźniej usypiać pod koniec widowiska... Wiele w nim rzeczy dobrych, interesujących, ciekawych, ale całość — dalece nie rzuca na kolana.

„Kraina uśmiechu“ w Gdyni

W błyskawicznej ankiecie dotyczącej proponowanego repertuaru operetkowego, jaką parę miesięcy temu rozpisala nasza redakcja pospolu z Teatrem Muzycznym — „Kraina uśmiechu” LEHARA należała do pozycji wymienianych zdecydowanie najczęściej. Z zainteresowaniem obejrzałem tedy w TEATRZE MUZYCZNYM w GDYNI nową wersję tej popularnej operetki, której autorami — myślę o adaptacji i tekstach piosenek — są: DANUTA BADUSZKOWA (jednocześnie reżyser spektaklu), RYSZARD MAREK-GROŃSKI i ANTONI MARIANOWICZ.

Mówiąc najkrócej: spektakl jest naprawdę dobry i niewielka sala gdyńskiego teatru nawet w nieszczęsny poniedziałek dosłownie pękała w szwach. Starannie przygotowany muzycznie, dobrze śpiewany (w partii Sou-Czong-a słuchałem występującego gościnnie czołowego tenora Teatru Wielkiego w Warszawie, LESŁAWA WACŁAWIKA, doskonale spisywała się w roli Mi jedna z adeptek „Studia”), pięknie rozwiązany scenograficznie, zwłaszcza w „chińskiej” części, wyreżyserowany precyzyjnie, logicznie, a nade wszystko z nerwem, bez popadania w okliwe dłużyzny.

Sama adaptacja nie mogła, oczywiście, bez reszty uniknąć melodramatu, który jest niejako „wpisany” w muzykę Lehara, ale autorzy umiejętnie odwołali się zarówno do doświadczeń sensacyjnego filmu (motywy kradzieży tajnych dokumentów) jak i do poetyki orientalnej baśni, tworząc w rezultacie nie pozbawioną wdzięku całość. Jeden Budda wie chyba tylko, jak bardzo nie kocham Lehara, a zwłaszcza jego librecistów, jednak na taką „Krajinę uśmiechu” również i w Łodzi mogę z czystym sumieniem przystać.

Jerzy Panasewicz